

Kilka lat później mógł w przytulisku z całym przekonaniem mówić, że gdy się chce naprawić kulawy stół, to się go nie obciąża, ale podpira. Dźwigał ubogich z nędzy nie ciągnąc ich od góry, lecz podpierając od dołu. Dlatego wcześniej sam musiał się na tym dole znaleźć i poznać, że został dźwignięty przez „Miłosierdzie Cierpiące za jego grzechy”.

Sądzę, że to jest w gruncie rzeczy po prostu Ewangelia, Ewangelia Błogosławieństw – a błogosławieństwa są dla wszystkich chrześcijan, dla każdego, kto jest uczniem Chrystusa. Dlatego ośmielam się sformułować drugą tezę, która dotyczy już nie Brata Alberta, ale nas samych. Sądzę, że dopóki chrześcijanin broni się za wszelką cenę przed tym ruchem „w dół” (którym może być porażka, kompromitacja, strata, choroba, ograniczenie możliwości, skutki popełnionego grzechu...), dopóty nie dozna na pełni Miłosierdzia, które dźwiga do czegoś innego, do prawdziwego usynowienia, do pełni dziecięstwa Bożego. I dopóki nie pozwoli Panu Bogu poprowadzić się „w dół”, dopóty nie będzie miłosierny – będzie co najwyżej pełnił dobre uczynki. I takie dobrouczynkowe miłosierdzie, może jeszcze szukające źródła siły w regulaminie, wcześniej czy później ogromnie go zmęczy; bo człowiek w ten sposób miłosierny daje siebie, a nie ma skąd siebie brać, napędzać – bo mimowolnie liczy na siebie, nie złożył całej ufności w Bogu. Natomiast każdy moment, gdy przyzwolimy Panu Bogu, by nas prowadził do Siebie – czyli „w górę” – ruchem „w dół”, staje się klawiszem „enter”, który uaktywnia i aktualizuje tę łaskę, by „poczuć się ubogim, który kocha braci”.



WAŻNI

br. Marek Bartoś

W uroczystość św. Brata Alberta przybyły do naszego Domu na ul. Krakowskiej neoprezbiter ks. Krzysztof Nering przekazał braciom w homilii taką myśl dotyczącą sensu naszej posługi. Otóż ubodzy, którzy do nas przychodzą są przeważnie ludźmi, którzy prawie wszędzie, tam gdzie na co dzień przebywają doznają poczucia niższości, przegranego życia, odrzucenia – bez względu na przyczyny tego poczucia, przecież jakże często ich postępowanie do takiej marginalizacji doprowadza. Piszę „prawie wszędzie” gdzie przebywają, bo nie wszędzie. Przychodząc do domów, gdzie znajdują się ludzie, którzy dobrowolnie zdecydowali się na przyjęcie roli służebnej wobec nich, mogą czuć się inaczej. Tu mogą czuć się ważniejsi, tu są ważni, bo ktoś im służy – a sługa jest mniej ważny od tego, komu służy. Nie chodzi tu o wielkie słowa takie jak: służba, poświęcenie, dobrowolne uniżenie. W zwyczajnym rozumieniu ten, kto służy, stoi niżej od tego, komu służy. Sama więc struktura relacji jakie istnieją między braćmi czy siostrami a ubogimi dowartościowuje tych ostatnich. Nasze domy stają się enklawami odzyskanego, choćby na krótko, poczucia wartości dla dużej rzeszy ubogich, korzystających z naszej posługi. Oczywiście wtedy, jeśli naprawdę służymy. I jeszcze jedna drobna uwaga: to nie my służąc wyświadczamy łaskę ubogim, to my otrzymaliśmy łaskę służenia ubogim – jakkolwiek wzniosłe by to brzmiało taka jest prawda chrześcijańskiego miłosierdzia.

Odpowiedzialni: s. Agnieszka Koteja, a-koteja@tlen.pl [0-12/413-55-99]
br. Marek Bartoś, bratmarek.alb@zakon.opoka.org.pl [0-12/42-95-664]

Którędy



7
(55)
2010

MIŁOSIERNY, KTO MIŁOSIERDZIA DOSTĄPIŁ [CZ. 2]

W pierwszej części postawiono tezę, że Brat Albert nie tyle się zniżał do ubogich, ile stawał w prawdzie, dlatego nie tylko „stał się jednym z tych, którym służył”, ale też faktycznie nie czuł się kimś od nich „lepszym”, „wyżej stojącym”. O Bracie Albercie można powiedzieć słowami Szymona Nowego Teologa, że czuł się „ubogim, który kocha braci”, a świadczone im miłosierdzie, zgodnie z przekonaniem św. Wincentego, było kwestią sprawiedliwości. W drugiej części artykułu pragnę dojsć do tezy, która dotyczy nas samych.

S. AGNIESZKA KOTEJA

MIŁOSIERNY, KTO
MIŁOSIERDZIA DOSTĄPIŁ

Spotkanie
w Centrum Kultury Du-
chowej, 23.05.2010.

/zarys wykładu - cd/

W Pismach Adama Chmielowskiego – Brata Alberta słowo „miłosierdzie” pojawia się w kilku znaczeniach:

- w listach częstokroć używa słowa „miłosierdzie” w kontekście proszenia o coś, zawdzięczenia czegoś; liczy na „miłosierdzie” dobroczyńców i władz, czyli inaczej „łaskawość”, „przychyłość”;
- tam, gdzie pisze o III Zakonie Franciszkańskim, pojawia się zwykle razem: „miłosierdzie i pokuta”; tu „miłosierdzie” oznacza tyle, co dobre uczynki – tercjarz winien czynić pokutę i pełnić dobre czyny względem bliźnich będących w potrzebie;
- pisząc już o działalności przytuliska używa sformułowania „miłosierna posługa” (zamiennie z: „dobroczynna”);
- jeden raz, w notatniku rekolekcyjnym, pojawia się słowo „Miłosierdzie” pisane wielką literą.

To właśnie, pojedyncze, ale znamienne użycie słowa „Miłosierdzie” jako określenie osoby, jakby imię własne, wyrażające tożsamość, ujawnia głębię duszy Brata Alberta i mówi chyba najwięcej o tym, czym dla niego było miłosierdzie, a także, jakie było źródło tego miłosierdzia, które płynęło przez jego serce i ręce. Warto to zdanie notatnika przytoczyć w całym kontekście: „Pos[tanowienie]: Jeżeli poznam że coś jest doskonalsze – uczynię. Nie jest miłość doskonała, jeżeli nie jest na tyle dosyć silna i szlachetna, aby oczyścić duszę ze wszystkich uciech obcych i aby nie skupiła wszystkich przyjemności w Bogu samym. Chciałbym i proszę **Miłosierdzia**”

Cierpiącego za moje grzechy, abym dla wywdzięczenia się Panu mógł także cierpieć wszystko, co by Jego Łasce dać mi się podobało. Daj. Daj. Tak mi Panie Jezu dopomóż. Pomnóż siłę do kochania tylko Ciebie i wszystkich ludzi dla Ciebie. Daj, żebym był do Ciebie podobny. Post. Umartwienie”.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że pisząc to miał przed oczyma „Ecce Homo”, choć swój obraz już wiele lat wcześniej oddał Szeptyckiemu. Ks. Karol Wojtyła wkłada w jego usta taką rozmowę z Chrystusem podczas malowania obrazu:

„Jesteś jednakże straszliwie niepodobny do Tego, którym jesteś.

Natrudziłeś się w każdym z nich.

Zmęczyłeś się śmiertelnie.

Wyniszczyli Cię –

To się nazywa Miłosierdzie.

Przy tym pozostałeś piękny.

Najpiękniejszy z synów ludzkich.

Takie piękno nie powtórzyło się już nigdy później –

O, jakież trudne piękno, jak trudne.

Takie piękno nazywa się Miłosierdzie”.

Miłosierdzie Cierpiące, tożsame z Osobą Jezusa... – echo spotkania z Osobą, którą Brat Albert rozpoznał jako Miłosierdzie. Bez tego spotkania nie da się być miłosiernym po chrześcijańsku. Dopiero to dojrzenie Osoby Chrystusa, to spotkanie z „Miłosierdziem Cierpiącym”, i to cierpiącym „za jego grzechy”, czyli angażującym się w jego własną biedę, było tym dostąpieniem miłosierdzia, które uczyniło Brata Alberta miłosiernym. Czytając listy Adama łatwo dostrzec, jak wielka zaszła różnica w Adamie Chmielowskim – Adamie, którego Helena Modrzejewska uważała za „chodzący wzór wszelkich cnót chrześcijańskich”. Po wstąpieniu do jezuitów Chmielowski pisze do niej tak: „Wesołą nowinę też posyłam, wesoła dla mnie i szczęśliwa nad wszelki wyraz; wstąpiłem do zakonu, za kilka dni dostanę suknię jezuicką, tę sławną czarną sukienkę, pod którą tytuł Świętych zwyciężało świat i siebie, a tylu bohaterów krwią się oblało za Boga i wiarę”. Adam miał wówczas już 35 lat, a tekst robi wrażenie, jakby pisał to nastolatek marzący o bohaterstwie, o jakimś wspaniałym popisaniu się przed Panem Bogiem. A oto słowa z innego listu, pisanego do Brandta w tym samym czasie: „W myślach o Bogu i przyszłych rzeczach – znalazłem szczęście i spokój – którego daremnie szukałem w życiu. Życzę Ci tych samych dobrych darów P. Boga. Kładę habit zakonny, żebym miał reguły życia i obowiązki, które by mi nie pozwalały upadać coraz niżej, bo każdy człowiek upada własnym ciężarem, jeżeli nic go nie podtrzymuje i do Boga nie zdąży. Ty także za łaską Bożą jesteś człowiekiem małżeńskiego zakonu, więc masz cały szereg świętych obowiązków, których dobre spełnienie zapewni Ci życie przyszłe za łaską Bożą”. Tak pisał we wrześnie, a w listopadzie przyszło psychiczne załamanie. Zapłonem depresji był prawdopodobnie niedopałek, którym się Adam zaciągnął, wbrew swemu postanowieniu, że nie będzie palił. Można sobie wyobrazić, co czuł, jeśli zestawimy motywację noszenia czarnej sukienki, w której inni przelewali krew dla Chrystusa, a on dla Chrystusa nie potrafił przejść obok niedopałka. Brat Albert wiele lat później powiedział o swym stanie w ten sposób: „Byłem przytomny, nie postrada-

łem zmysłów, ale przechodziłem okropne męki i skrupuły i katusze najstraszniejsze”. Wiele lat temu o. Albert Wach, karmelita, mówił w czasie rekolekcji (o ile dobrze rozumiałam i zapamiętałam jego słowa), że skrupuł rodzi się tam, gdzie człowiek odnosi się do czegoś zewnętrznego w stosunku do własnego sumienia – do przyjętego z zewnątrz prawa, a nie do mieszkającego wewnątrz Boga-Osoby. Jeśli tak rzeczywiście jest, to nic dziwnego, że Adam cierpiał „skrupuły najstraszniejsze” – skoro ufał, że dźwigać go będą ku Bogu reguły zakonne, a nie raczej Boże miłosierdzie. Kim byłby Adam Chmielowski wśród ubogich, gdyby mu się udało żyć nadal z takim myśleniem? Jeśli by wierzył, że to reguły i obowiązki go podtrzymują i dźwigają ku Bogu (jak i Brandta jego obowiązki w zakonie małżeńskim), to i ubogich chciałby dźwigać przy pomocy reguły¹. W przytulisku jako pierwszy zawisłby regulamin, a nie obrazek Matki Bożej Częstochowskiej, a przed podaniem zupy byłaby powtórka z katechizmu.

Św. Teresa Wielka, którą Brat Albert czytał codziennie, tak opisała swoje nawrócenie: „...bo **pozbyłam się już zupełnie wszelkiej ufności w samej sobie, a całą ufność swoją położyłam w Bogu**. Powiedziałam Mu wówczas, zdaje mi się, że nie wstanę od modlitwy, dopóki nie spełni mojego błagania. Wierzę z całą pewnością, że wówczas zostałam wysłuchana, bo od tej chwili zaczęłam coraz więcej się poprawiać” (*Księga życia*, 9). Czytając ten fragment jeszcze jako świecka dziewczyna zapamiętałam, że Teresa powiedziała, że nie wstanie z klęczek, jeśli nie zostanie wysłuchana, i odtąd zaczęła się poprawiać. Dopiero wiele lat później zauważyłam słowa o złożeniu całej – całej! – ufności w Bogu, a przecież to tu było istotne źródło poprawy. Czy nie podobnie było z Bratem Albertem, jak z Teresą? Na kogo liczył przez te wszystkie lata, gdy chciał służyć Chrystusowi przez sztukę czy przez reguły zakonne? A na kogo mógł liczyć po półtora roku zupełnego wyłączenia z normalnego życia, gdy się okazało, że nie tylko sam sobie nie potrafi pomóc, ale że bezskuteczna okazała się wszelka ludzka pomoc?

Brat Albert z własnej woli „stał się jednym z tych, którym służył”, ale wcześniej bez własnej woli spędził dziewięć miesięcy w Kulparkowie, lwowskim szpitalu psychiatrycznym, gdzie był leczony takimi metodami jak inni – w cudzysłowie – „wariaci”; a wówczas leczono np. zimnymi natryskami; ponieważ zaś nie tylko zamilkł, ale i nie chciał jeść, czując się niegodnym chodzenia po tej ziemi, doszło nawet do karmienia go siłą. Przez te półtora roku, gdy nie śmiał przestąpić progu kościoła, gdy nie umieli pomóc ani jezuici, ani lekarze, ani rodzina, był jednym z „wydziedziczonych”, był poza społeczeństwem, nie z powodu dobrowolnego zniżania się do kogokolwiek, tylko z powodu swojej własnej psychicznej biedy. Bieda ta okazała się drogą do duchowych bogactw, można ją zapewne nazwać „ciemną nocą oczyszczenia”, można o niej mówić w kategoriach wielkiej Bożej łaski, ale na płaszczyźnie ludzkiej? – to było po prostu dno. W takim właśnie doświadczeniu rodził się późniejszy Szary Brat i Ojciec Ubogich, człowiek prawdziwie po Bożemu miłosierny, który bez Bożego miłosierdzia ani o własnym siłach, ani przy ludzkiej pomocy nie był w stanie wy dostać się z mroku.

¹ Mówił zdaje się o tym ks. G. Ryś podczas majowych rekolekcji na Prądniku – słyszałam fragmenty konferencji, być może częściowo powtarzam jego słowa.